

Janusz Wróbel, *W ogniu wojen i rewolucji. Polacy w Chinach (1898–1949)*,
Wydawnictwo IPN, Łódź–Warszawa 2023, ss. 690

Monografia Janusza Wróbla jest potężna rozmiarami, ale też dotyczy nie tyle jakiej kwestii. Traktuje o ponad półwiekowej (agonia tytułowej społeczności trwała wiele lat, przeciągając się poza końcową cezurę) obecności Polaków w najludniejszym i posiadającym najstarszą żywą cywilizację kraju świata. Jeśli zważymy, że grupa, o którą chodzi, nie była stereotypowymi „panami Balcerami w Brazylii”, czyli emigrantami uciekającymi od nędzy – a tak, słusznie czy nie, postrzega się typowego Polaka opuszczającego rodzinne progi na przełomie XIX i XX w. – a ludźmi o ponadprzeciętnym zwykle wykształceniu i kwalifikacjach, to potrzeba i waga takiej syntezy staje się oczywista. Dodać można, iż mowa o społeczności, która odniosła (początkowo) znaczny sukces i która w kraju, w jakim się znalazła, była przez pewien czas częścią warstwy uprzywilejowanej. Uderza wreszcie jej smutny i pośpyny koniec, nieprzynoszący chwały państwu polskiemu – za jakie mimo wszystko trzeba uznać PRL.

Z zadaniem, którego się podjął Wróbel, mierzyło się dotąd wielu badaczy (wymienia ich sumiennie we wstępie do pracy). Chodziło wszakże albo o osoby znające sprawę z autopsji lub od świadków wydarzeń (tak należy zakwalifikować, skądinąd cenne, prace Konstantego Symonolewicz czy Edwarda Kajdańskiego), albo o mniej lub bardziej udane próby przyjrzenia się jednemu tylko, choć na pewno najważniejszemu, fragmentowi zagadnienia: Polakom w Mandżurii (lub nawet tylko w Harbinie). Wróbel pokusił się o próbę opisu polskiej emigracji w skali całych Chin. Prawda: owa emigracja była w ogromnej mierze gałęzią mandżurskiego pnia. Dochodzi do tego jednak frapująca próba spojrzenia na ową grupę jako na część rosyjskiej „diaspory imperialnej”, w ramach której polscy przybysze z Imperium Rosyjskiego byli „skolonizowanymi kolonizatorami”.

Podstawa archiwalna pracy jest imponująca. Autor wymienia 14 archiwów, w których przeprowadził kwerendy. Nawet przy zastrzeżeniu, że dwa z nich (kolekcje CIA i nowojorskie zasoby Joint Distribution Committee Archives) to zbiory zdigitalizowane, a z niektórych instytucji (jak Biblioteka Narodowa) wyzyskano tylko pojedyncze rękopisy, jest to i tak znaczny wysiłek badawczy. Rzuca się natomiast w oczy brak archiwaliów rosyjskich, chińskich i japońskich. Ów zarzut musi być jednak widziany we właściwych proporcjach. Kwerenda w placówkach Federacji Rosyjskiej jest obecnie niemożliwa. Alternatywę mogłaby stanowić wyprawa do Helsinek, bowiem tamtejsze biblioteki są chyba najlepiej (poza samą Rosją) zaopatrzone w druki z czasów schyłku caratu. Poszukiwania w Chinach, abstrahując od istniejących barier (w tym językowej: autor, jak się zdaje, mandaryńskim nie włada), mogłyby, wbrew pozorom, dać plony drugorzędne. Polacy w Mandżurii, o których najbardziej chodzi, mieli bowiem do czynienia przede wszystkim z władzami niechińskimi (rosyjskimi i japońskimi), a Polacy w Szanghaju z angloamerykańskimi, francuskimi i brytyjskimi. Z władzami chińskimi przeważnie nie prowadzono korespondencji w ich rodzimym języku, a co gorsza – kwestia najistotniejsza – wydaje się, iż znaczna część najcenniejszych zasobów przepadła. Największe perspektywy rokowałyby podróż do biblioteki Uniwersytetu w Sapporo

w Japonii, gdzie ulokowano bezcenne (także obcojęzyczne) zbiory z czasów japońskiej obecności w Mandżurii. Dodajmy, iż Wróbel – być może z powodu bariery językowej – nie pomyślał też o kwerendzie w archiwum francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. A przecież sam pisał, jak ważną rolę dla interesów polskich w Chinach odgrywała w pierwszych latach niepodległości pomoc Francji – od początku faktycznego, a potem także i formalnego sojusznika odrodzonej Rzeczypospolitej. W dodatku (o czym autor już nie wspomina) w Szanghaju Polacy znajdowali schronienie przede wszystkim na terenie Koncesji Francuskiej, części miasta, która była bezpośrednio (tzn. bez samorządu) zarządzana przez konsula III Republiki. Uwagi te w żadnej jednak mierze nie przesądzają o wartości pracy. Każda kwerenda musi się wszak kiedyś skończyć, a zbyt dużo prac mających być *opus vitae* nigdy nie przyobekło się w ciało.

Z podobnych względów trudno postawić większe zarzuty liczbie wykorzystanych tytułów prasowych (58!), jak i literaturze przedmiotu. Z jednym wszakże wyjątkiem: przywoływane są periodyki ukazujące się w Polsce (we wszystkich zaborach) i anglojęzyczne gazety z Chin, Japonii i Singapuru, brak natomiast prasy rosyjskojęzycznej. A właśnie w niej występować musieli najczęściej Polacy mieszkający w Państwie Środka. W wypadku monografii autor nie mógł wykorzystać bardzo dobrej pracy Olgi Barbasiewicz o obywatelach RP napływających jako uchodźcy wojenni do Szanghaju, bo ukazała się ona tuż przed publikacją tomu *W ogniu wojen i rewolucji*. Lektura dzieła tej badaczki (*Ocaleni w Azji Wschodniej. Działalność państwa polskiego w latach 1940–1945 na rzecz obywateli RP – uchodźców w Japonii i Szanghaju*, Warszawa 2023) zmusiłaby go do rozszerzenia, skorygowania lub rewizji wielu dotychczasowych ustaleń.

Niejakie rozczarowanie budzi powoływanie się (niekiedy) na mało już przydatną literaturę. Dotyczy to na szczęście wątków raczej pobocznych dla wiodącego zagadnienia. O Kolei Wschodniocchińskiej istnieje wiele prac bardziej aktualnych od pochodzącego z 1925 r. artykułu Wang Chin-chuna (dość wspomnieć publikacje Bruce’a Ellemana, Matsusaki Yoshihasy, Stephena Kotkina, a nawet dość popularną rodzimą książkę Edwarda Kajdańskiego). Cytowana biografia Kazimierza Sosnkowskiego pióra Lecha Wyszczelskiego jest na pewno najgorszym dostępnym w Polsce życiorysem tej wybitnej postaci. Wydana w 1965 r. popularna książeczka *Walka o Mandżurię*, acz wtedy pożyteczna i napisana przez kompetentnego Andrzeja Bartnickiego, została zastąpiona przez obszerne publikacje Wojciecha Materskiego i Tadeusza Dmochowskiego (abstrahuję tu od nieprzeliczonych tytułów w językach obcych). Dostępny w Polsce od 2009 r. pękaty tom Jonathana Fenby’ego *Chiny. Upadek i narodziny wielkiej potęgi* jest dziełem dziennikarza, w dodatku często bałamutnym. Takie przykłady można mnożyć.

Duże wątpliwości – by nie powiedzieć więcej – budzi niestety kwestia użytej w książce transkrypcji chińskich imion własnych i nazw geograficznych. Owszem: dla każdego autora piszącego o Polakach w Chinach sprawa ta jest istną drogą przez mękę. W naszym kraju w tej dziedzinie nie istniał bowiem nigdy żaden jednolity system. W źródłach i publikacjach używano więc transkrypcji angielskiej, francuskiej, niemieckiej lub – wyjście najgorsze, ale najpowszechniejsze w Mandżurii – zapisywano alfabetem łacińskim nazwy i terminy pierwotnie uwieczniane grażdanką. Autor jednak przyjął – oprócz nielicznych przypadków niebudzących wątpliwości, jak Czang Kaj-szek, Mao Zedong albo Pekin i Szanghaj – rozwiązanie pozornie najprostsze, równoznaczne jednak z kapitulacją: zapisywanie odnośnych nazw tak jak figurowały w źródłach, tylko niekiedy próbując ustalić, jak brzmią w obowiązującej dziś transkrypcji pinyin. Rezultatem są takie dziwolagi, jak „Mań Dżu Di Go” (s. 368), „do Czangczunia” (s. 295, chodzi o Changchun), „Hsu Czing-Czeng” (s. 32, chodzi o Xu

Jingchenga), „Chien-Kuo-Lien” (s. 620, chodzi o Jian Guoliana) czy sławny dyplomata chiński Yan Huiqing *alias* W.W. Yen (przelotnie także premier i p.o. głowy państwa) przedstawiany jako „Weiching Williams Yen”, przy czym „Weiching”, czyli imię brane jest za nazwisko, w związku z czym ta znana postać figuruje w indeksie pod „W”. Japończyków niekiedy autor przedstawia w szyku obowiązującym w ich ojczystym kraju (najpierw nazwisko, potem imię), ale niekiedy ten szyk (bezwiednie?) odwraca. Ich nazwiska czasem są deklinowane w dość nieoczekiwany sposób (s. 102: „hr. Nobuakiego Makina”; Makino to nazwisko, ale na s. 117 występuje z kolei „Makino Nabuaki”; niemniej w indeksie umieszczono tego polityka poprawnie pod „M”). Zabawnie ma się sprawa z wydawaną też w Polsce, pochodzącą z Chin brytyjską pisarką i historyczką amatorką podpisującą się jako Chang Jung (w pinyinie byłoby to Zhang Rong; Chang/Zhang to nazwisko). Tu odpowiednią formę mogłaby wybrać sama zainteresowana, ale w indeksie nazwisk figuruje ona raz pod literą „J”, raz pod „Ch”, a w Bibliografii pod „Jung”, a więc pod imieniem, nie nazwiskiem.

Przyjęte cezury czasowe (początek rosyjskiej obecności w Mandżurii oraz powstanie ChRL) są właściwe i oczywiste. Podobnie – a to duża pochwała – ma się sprawa z konstrukcją pracy. Z jednym wszakże wyjątkiem. W „Epilogu”, który powinien być tylko podsumowaniem, autor niepotrzebnie „podciągnął” narrację niemal do połowy lat pięćdziesiątych, opisując m.in. barwne perypetie statków pod banderą PRL, zatrzymywanych przez władze tajwańskie. Chodziło o (skądinąd jakże zrozumiałą) pokusę streszczenia ustaleń zawartych w poprzedniej własnej monografii *Chipolbrok. Z dziejów polsko-chińskiego sojuszu morskiego 1950–1957* (Łódź 2016), ale sprawa ta, skądinąd ważna i ciekawa, niewiele ma wspólnego z diasporą polską w Chinach.

W początkowej partii książki zbyt mocno są być może rozbudowane podrozdziały mówiące o udziale Polaków (w rosyjskich mundurach) w tłumieniu powstania Yihetuan („bokserów”), a także w wojnie rosyjsko-japońskiej. Ich związek (zwłaszcza takie epizody, jak szturm na forty Dagū [w pracy „Taku”] czy refleksje kpt. Stanisława Szeptyckiego, obserwatora walk z ramienia Austro-Węgier) z tytułową problematyką budzi bowiem wątpliwości, choć same w sobie są to ciekawe sprawy. Niewątpliwą zasługę autora stanowi natomiast w miarę obszerne potraktowanie działalności polskich misjonarzy i sióstr miłosierdzia w Chinach. Ważna ta sprawa była dotąd poruszana (jeśli w ogóle) niemal wyłącznie w publikacjach mających charakter niszowy. Niemal zaś wcale nie podejmowano problemu, za którego zaakcentowanie należy się Wróblowi osobna pochwała – kwestia szykan, represji i prześladowań księży, zakonników i zakonnic przez komunistów chińskich. Autor zauważa przy tym, iż ludzie Kościoła narodowości chińskiej byli dręczeni szczególnie zaciekle i naturalnie nie mogli opuścić skomunizowanych już Chin.

Częstkowe ustalenia na temat poszczególnych polskich placówek i stowarzyszeń, instytucji takich jak sławne harbińskie Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, małopolskich czasem kłótni między lokalnymi działaczami mają wymierne znaczenie. Ważne wydaje się jednak także otwarte postawienie przez autora fundamentalnego pytania, od którego uciekała większość badaczy. Brzmi ono: w jakiej mierze Polacy w Mandżurii pozostali Polakami? Liczne źródła sugerują bowiem, iż społeczność owa, grupująca znaczną liczbę osób wykształconych, a przynajmniej o sporych kwalifikacjach zawodowych (fenomen wśród ówczesnego polskiego wychodźstwa zarobkowego), była integralną częścią rosyjskiej emigracji imperialnej. Przywódcy „polskich harbińczyków” przynajmniej do 1917/1918 r. bardzo silnie utożsamiali się z interesami państwa rosyjskiego (choćby nosili „historyczne” polskie nazwiska) i „wybrali Polskę” w 1917/1918 r. po części dlatego, że Rosja bolszewicka nie mogła już

w ich oczach uchodzić za Rosję. Także polskość ich dzieci (zwłaszcza ze związków mieszanych, w których małżonkowie rozmawiali ze sobą – i z dziećmi – po rosyjsku) była problematyczna lub żadna. Jest to więc studium tyleż o „trwaniu polskości na krańcu świata”, co o wynarodowieniu, przy czym (rzecz frapująca) w procesie zmiany tożsamości właściwie nigdy nie chodziło o przyjęcie tożsamości narodu dominującego w Mandżurii, a więc Chińczyków (np. s. 209). Wynarodowienie to często nie przybierało nawet formy zapominania języka, ale swoistej rusyfikacji mentalności.

W nieco innym kontekście owo pytanie postawić można w przypadku sławnej grupy „Spanish doctors”, ochotników, którzy wprost z brygad międzynarodowych przy armii republikańskiej Hiszpanii przeszli w 1939 r. do Międzynarodowego Korpusu Medycznego przy Chińskim Czerwonym Krzyżu. Choć wszyscy jej członkowie (oznaczeni potem słowem „Poland” na pomniku wzniesionym w Tuyunguanie przez komunistów chińskich) byli polskimi Żydami, żaden z nich nie zdecydował się na powrót nad Wisłę po wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Za swą ojczyznę uważali bowiem zupełnie inne państwo: na wieść o zaatakowaniu ZSSR przez Hitlera wszyscy złożyli prośbę o przyjęcie do sowieckiej armii. Prośbie tej w jakiejś mierze uczyniono zadość dopiero w 1945 r. Najsławniejszy w grupie Samuel Flato (ponoć przyjaciel samego Zhou Enlaia), powróciwszy do ojczyzny na czele „hiszpańskiej” grupki, wstąpił do Oddziału II Sztabu Generalnego sowietowanego polskiego wojska, by po pewnym czasie zostać uwięzionym przez partyjnych towarzyszy za „zdradę i działalność spiskową”. Życie (o czym już Wróbel nie pisze) uratowały mu odwilż i konieczność zorganizowania wizyty Edwarda Ochaba w ChRL. Przeżycia owych „Hiszpanów” (rodaków Cervantesa wśród nich nie było) być może da się nazwać „epopeją” (s. 572), ale chyba nie epopeją polską.

Wróbel nie stroni od sympatycznych wzmianek pod adresem Chińczyków, choć czasem wydają się one nie do końca przemyślane albo zaprawione dobrze dziś widzianą *political correctness*. Wspominając o zachwytach prasy w Kongresówce nad udziałem Polaków w tłumieniu powstania „bokserów”, powiada, iż „zastanawia brak refleksji nad oczywistą zbieżnością ówczesnego położenia Chin z dramatem Polski sprzed stulecia” (s. 77). Otóż, pomijając fakt, iż poczynania „bokserów” są dziś sceptycznie oceniane nawet w ChRL, pamiętać należy, iż w warunkach cenzury i trwającego stale stanu wyjątkowego prasa (legalna) w Królestwie nie bardzo sobie mogła pozwolić na takie refleksje. Dalej, komentując entuzjazm polonijnych pism niepodległościowych w USA wobec zwycięstw Japończyków nad wojskami cara, autor zauważa: „trudno oprzeć się refleksji, że działacze polonijni w Stanach Zjednoczonych zdawali się zupełnie ignorować fakt, że armia japońska wcale nie broniła własnej ojczyzny, a przeciwnie – realizowała zaborcze dążenia młodego imperializmu azjatyckiego, którego ofiarą stać się miała ludność Chin, kraju, który tak jak niegdyś Polska był celem beczere-monialnych ataków agresywnych sąsiadów” (s. 108). Sprawa jest wszakże znacznie bardziej skomplikowana. Po pierwsze, cała republikańsko-rewolucyjna („postępowa”) emigracja chińska, z Sun Yatsenem na czele, z całej mocy popierała w tej wojnie Japończyków i życzyła klęski rządowi w Pekinie. Co więcej, większość ówczesnej Mandżurii, a zwłaszcza jej część północna, gdzie leżał Harbin, nie była jeszcze w owym czasie skolonizowana przez Chińczyków-Hanów. Tym ostatnim cesarz z dynastii Qing (nie bez powodu zwanej „mandżurską”) niemal do końca XIX w. zabraniał osiedlać się w tym mateczniku swego rodu i narodu pod karą śmierci. Innymi słowy, Chińczycy byli w owej krainie takimi samymi niemal intruzami, jak Rosjanie i Japończycy. To, że na skutek olbrzymiej fali kolonizacji obraz ten się błyskawicznie zmienił i wkrótce Mandżurów można było spotkać w Mandżurii nie łatwiej niż Delawarów w amerykańskim stanie Delaware, to inna sprawa.

Autor pisze zbyt zdawkowo i chyba zbyt krytycznie o stosunku okupantów japońskich do ludności polskiej w Chinach. Jest zapewne zrozumiałe, że do okupantów tych, którzy (aczkolwiek nie wszyscy) splamili się w Kraju Środka straszliwymi nieraz zbrodniami, nie odczuwa szczególnej sympatii. Warto jednak wyartykułować kwestię podstawową: postępowanie Japonii wobec obywateli RP, kraju, który znalazł się najpierw w przeciwnym obozie politycznym, a potem wręcz w stanie wojny z wyspiarskim cesarstwem, było czymś bezprecedensowym. Japończycy nie tylko pozwolili na funkcjonowanie pod swoją okupacją większości polskich instytucji (z harbińskim Gimnazjum im. Sienkiewicza na czele), ale faktycznie nie traktowali Polaków – w tym także polskich Żydów – jako obywateli państwa nieprzyjacielskiego. W tym kontekście trudno się zgodzić z opinią, iż dyplomacja polska „zdecydowała się *de facto* uznać japoński podbój Mandżurii, przez co popsuła stosunki z rządem chińskim, ale nie uzyskała nic w zamian” (s. 708). Uratowanie tysięcy żywotów ludzkich (Barbasiewicz mówi o 2 tys. przybyłych tylko do Japonii, w 90% Żydów) i bezpieczna, choć nieraz głodowa egzystencja kilkudziesięciu tysięcy dalszych w Mandżurii i Szanghaju to na pewno więcej niż „nic”. Porównanie postawy Japonii nie tylko z zachowaniem Sowietów (którzy wkroczyli do Mandżurii latem 1945 r.), ale także z poczynaniami przedstawicieli „Polski demokratycznej” od 1945 r. reprezentujących jakoby w Chinach interesy tamtejszych Polaków, ma wydźwięk jednoznaczny i niesłychanie gorzki.

Słowa sympatii należałyby się także chińskiemu rządowi Czang Kaj-szeka. Autor ma rację, iż rząd ten żywił do Polski żal za faktyczne (bo formalne nie) uznanie marionetkowego Mandżukuo, choć było ono objawem tak często dziś sławionego realizmu politycznego. Mimo owego żalu Czang Kaj-szek konsekwentnie uznawał po 1939 r. rząd RP na uchodźstwie, w 1942 r. podniósł stosunki wzajemne na szczebel ambasad oraz zapowiedział (ustami posła w Ankarze Zou Shangyou), że będzie „zawsze popierał słuszne terytorialne rewindykacje Polski, stojąc na gruncie prawa międzynarodowego pogwałconego jaskrawie przez agresję w 1939 r. przez Niemców i Rosjan” (s. 562; u Wróbla „Tsou Shang-yu”). Co więcej, w czarnym roku 1945, gdy rządowi RP wycofano uznanie międzynarodowe, kierujący byłą ambasadą Jan Fryling mógł dalej (nieformalnie) funkcjonować w Chongkingu i „spotykał się na każdym kroku z oznakami sympatii urzędników różnych resortów rządu chińskiego” (s. 594). Nie były to tylko gesty, bowiem chodziło o dalsze trwanie Polaków w Szanghaju (Mandżuria została już zajęta przez sowieckich i chińskich komunistów).

Smutnie przedstawia się sprawa stosunku władz w Warszawie do rozsianej po Chinach polskiej diaspory. W wypadku władz lat 1918–1939 chodzi głównie o zaniechania, wynikiłe z kolei w znacznym stopniu z niedostatku środków. Ponieważ po przewrocie bolszewickim żaden rząd rosyjski, czerwony czy biały, nie sprawował efektywnej władzy nad zarządem Kolei Wschodniocihńskiej (instytucji, od której zależał los większości Polaków w Mandżurii), rząd II RP nie miał z kim w tej sprawie pertraktować. Do 1928 r. nie wiadano, kto jest centralnym rządem Republiki Chihńskiej, a nawet po tej dacie rząd ów nie miał faktycznej kontroli nad Mandżurią. Od 1931 r. kontrolę ową przejęli Japończycy. Wobec szukania przez piłsudczyków w Tokio partnera politycznego (zresztą nie bez pewnych sukcesów) sprawy mandżurskie schodziły na dalszy plan, choć zapewne, jak pisze autor, „lektura sprawozdań polskich posłów i konsulów daje przykre wrażenie protekcyjnalizmu i arogancji w traktowaniu polskiej społeczności przy jednoczesnym braku krytycyzmu wobec własnych zaniechań i porażek” (s. 708). Krytyka ta niesłusznie jest jednak rozszerzona na poczynania rządu na uchodźstwie. Autor sporo i pozytywnie pisze o działalności ambasadora w Tokio Tadeusza Romera (który po przybyciu do Szanghaju w październiku 1941 r. przejął ster nad sprawami

polskimi w Chinach). Gdyby znał jednak całokształt dostępnego dziś materiału źródłowego, musiałby uznać, że osiągnięte wyniki w stosunku do środków potraktować należy jako sukces nieledwie powyżej możliwości.

Jeśli jednak poczynania konstytucyjnych władz RP sprawiają wrażenie zaniechań i niekiedy zmarnowanych okazji, to już lektura stron o działaniach władz „demokratycznych” w Warszawie odpycha treścią prawdziwie ponurą. Odnosi się wręcz wrażenie, że reprezentanci owych władz w Państwie Środka (z drobnymi i niepewnymi wyjątkami, jak głośny sinolog Witold Jabłoński) nie tyle nawet byli obojętni na los rodaków rzuconych na Daleki Wschód, co obserwowali niszczenie tej społeczności przez „towarzyszy chińskich” z niekłamną satysfakcją. Reprezentatywna jest tu opinia ambasadora Juliusza Burgina (Wróbel jego i dwóch następców określa „grabarzami prężnej niegdyś Polonii chińskiej”), który w 1950 r. raportował, iż „członkowie tej Polonii – można śmiało rzec – w 90% to ludzie o bardzo niepięknej przeszłości politycznej”, bowiem „wśród całej Polonii mandzurskiej nie ma bodajże ani jednego uczestnika demokratycznego czy rewolucyjnego ruchu oporu” (s. 690). Poraża wręcz wiadomość, iż bezcenny kilkutyśięczny księgozbiór Polonii w Harbinie decyzją przedstawicieli PRL „sprzedano na przeróbkę (makulaturę)” (s. 687; to cytat z oficjalnego dokumentu MSZ). W Szanghaju „element mało wartościowy”, czyli osoby o poglądach antykomunistycznych i starcy decyzją ambasady „mieli pozostać na miejscu i radzić sobie sami” (s. 671; ludzie ci chcieli wyjechać z ChRL, ale znaleźli się w potrzasku). W czasie gdy ostatni Mohikanie polskiej diaspory, władający jeśli nie mandaryńskim, to innymi językami obcymi, dosłownie umierali z głodu, w Ambasadzie PRL w czerwonym Pekinie, jak informuje autor, „w pewnym okresie nie było [...] nawet zdolnego odebrać telefon w języku obcym” (s. 701). Burgin (wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, szef Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej i członek zarządu Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli) nie chciał bowiem, podobnie jak jego następcy, zatrudniać członków Polonii nawet na poziomie czysto urzędniczym.

Monografia Wróbla zawiera nieco błędów. Jak w każdej pracy o takiej objętości, w gruncie rzeczy nie dało się ich uniknąć. Niektóre są drugo- i trzeciorzędne, inne bardziej przykre. Znakomity dyplomata brytyjski sir John Newell Jordan nie był w 1917 r. ambasadorem w Pekinie – w mieście tym nie istniała wówczas ani jedna ambasada – lecz posłem; fakt, że figuruje on w indeksie nazwisk pod „Newell” wywołuje smutek (choć indeksu może nie układał autor). Sformułowanie ze s. 26 o sławnym Siergieju Wittem „we swych wspomnieniach, spisanych jeszcze przed rewolucją bolszewicką” sugeruje, że ten polityk dożył owej rewolucji, tymczasem zmarł w 1915 r. Waluta Republiki Chińskiej określana jest raz jako „dolar meksykański, tak zwany dajan” (s. 222), a raz jako „juani” (s. 640, 654). Naprawdę chodzi o yuan (zwany też fabi), którego wartość początkowo równała się dolarowi meksykańskiemu (złoty polski po reformie Grabskiego też był równy frankowi szwajcarskiemu). Twierdzenie, że wśród sowieckich doradców w armii Czang Kaj-szeka pojawił się też „Georgij Żukow, w przyszłości najwybitniejszy dowódca Armii Czerwonej” (s. 483), jest nieprawdą, choć w gronie tym znajdowali się wybitni oficerowie, jak Wasilij Czujkow i Andriej Własow. Posłem polskim w Tokio w połowie lat trzydziestych był nie Henryk Mościcki, a Michał Mościcki – fakt nie bez znaczenia, bo chodzi o syna prezydenta RP (s. 365). Krytykując Polskę, że faktycznie uznała Mandżukuo „jak Niemcy, Włochy i Hiszpania” (s. 372), autor nie wymienił najważniejszego kraju, który uznał ten twór – był nim ZSSR (kraju Sowietów brak też na odpowiedniej liście na s. 563). Japończycy nie podjęli próby zdobycia Chongkingu (Czungkingu), stolicy walczących Chin, nie tylko we wrześniu 1939 r., jak czytamy na s. 484,

ale w ogóle nigdy. Stwierdzenie, iż wojnie domowej lat 1946–1949 „wojska Czang Kaj-szeka były liczniejsze od armii chińskich komunistów, a także lepiej wyposażone i uzbrojone” (s. 589), króluje wprawdzie w literaturze przedmiotu, ale jest całkowitą nieprawdą. W wojnie tej „generalissimus [Czang]” nie mógł „wpaść na pomysł zaatakowania twierdzy komunistów Junnanu (Yunnan)” (s. 591), bo nigdy nie uzyskał takiego stopnia, a ponadto w Yunnanie nie było komunistów. Chodzi niemal na pewno o odległą o ponad 2 tys. km od Yunnanu nieformalną stolicę Mao Yan’ an (i w tym kontekście trudno znów nie przywołać kwestii zapisu nazw chińskich).

Mimo takich czy innych mankamentów książka Janusza Wróbla jest niezmiernie bogata w informacje, czerpane często bezpośrednio ze źródeł. W swej recenzji skupiłem się tylko na niektórych jej wątkach. Niemal pomiąłem szeroko omawiany przez autora okres 1898–1925 (ta ostatnia data to ustanowienie stosunków dyplomatycznych Moskwa-Tokio, redefiniujące status byłych poddanych rosyjskich w Mandżurii), dlatego iż – w przeciwieństwie do lat późniejszych – został on stosunkowo lepiej opisany w polskiej historiografii. W wielu wypadkach *W ogniu wojen i rewolucji* jest pracą prekursorską, z całą chlubą, ale i kłopotami wynikłymi z tego powodu. Życząc jak najlepiej jej autorowi, któremu koledzy po piórze winni są wdzięczność, stwierdzić trzeba jednak, iż nie byłoby dobrze, aby stała się ona ostatnim słowem na temat Polonii chińskiej. Ukazuje ona dzieje niezwyklej społeczności o znacznym potencjale i zamożności (jej przedstawiciel Władysław Kowalski, którego willa została potem zamieniona w rezydencję Mao Zedonga, był może w pewnej chwili najbogatszą osobą w Mandżurii), który to potencjał został bez żadnego pożytku dla macierzy właściwie całkowicie zmarnowany. Gorzko prawdziwe są ostatecznie słowa w monografii Wróbla, iż „diaspora polska w Chinach, która powstała u schyłku XIX wieku jako element rosyjskiej diaspory imperialnej, zakończyła swoje istnienie jako diaspora ofiar” (s. 709).

Tom ma piękną edytorsko postać, z fotografiami i reprodukcjami o dobrej jakości (niekiedy kolorowymi), w większości publikowanymi w Polsce po raz pierwszy. Nie jest to rzecz bez znaczenia. Tak jak i cała monografia, w sumie na pewno udana.

JAKUB POLIT

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Instytut Historii
ORCID 0000-0002-8209-5124